



# WYSPA NIEZNANA

ANTONI MARCZYŃSKI

Antoni Marczyński

# WYSPA NIEZNANA

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-73-9

Copyright © Leopold René Nowak

Projekt okładki: Przemysław Małachowski

## SPIS TREŚCI

### OLBRZYMY

- I. ŁÓDŹ NA WZBURZONYM OCEANIE
- II. PRZEBUDZENIE
- III. PODZWROTNIKOWA NOC
- IV. POLANA NA SKRAJU DŻUNGLI
- V. ŚWIĘTO ZGODY
- VI. SKAZAŃCY
- VII. NOC BOGINI MIŁOŚCI
- VIII. CZARNE CHMURY NAD BIAŁYM MIASTEM
- IX. WALKA W ŚWIĄTYNI
- X. NIEDOBITKI

### MŚCICIELKA

- I. BUDOWA OKRĘTU
- II. ZASADZKA
- III. POWSTAŃCY
- IV. TRĄD
- V. OFIARY ŚWIĘTEJ NOCY
- VI. KRÓLOWA
- VII. HENRYK I ELI
- VIII. ZEMSTA WYSPIARKI

### KRÓLOWA OTHE

- I. BAAL ŻĄDA OFIARY
- II. KARA I NAGRODA
- III. W PODZIEMIACH ŚWIĄTYNI
- IV. DZIWNE SNY
- V. OFIARA Z LUDZI
- VI. SOFO MŚCICIELKA
- VII. ZŁE WIEŚCI
- VIII. MĘKA PRAGNIENIA
- IX. ROCZNICA ŚMIERCI MŚCICIELKI
- X. POTOP

# OLBRZYMY

## I. ŁÓDŹ NA WZBURZONYM OCEANIE

Złotowłosa dziewczyna usiadła na głazie i zapatrzyła się w dal bez kresu.

Tam, u jej stóp szumiał ocean. Rozbijały się potężne fale o ostre zręby przybrzeżnych skał. A poza tymi rafami, które czyniły zator spienionym odmętom, wznosiła się prostopadle olbrzymia, ściana pasma górskiego. Z niesłychaną zawziętością pędziły zielonkawe wały wody do szturmu na kamienne zapory. Biała piana wściekłości posrebrzała ich szerokie grzbiety, na sam widok nie zdobytej przeszkody. Rykiem nieustannym dodawały sobie otuchy, że przecież musi nadejść dzień, w którym resztki raf nadbrzeżnych zostaną starte na miał, a uparta ściana skalna runie z łoskotem w wodę. Tak!... Taki dzień nadejść musi, lecz kiedy? Wszystko jedno, kiedy. Morze zawsze ma czas. Dziesięć tysięcy lat później, czy dziesięć tysięcy lat wcześniej, to fraszka dla starego olbrzyma...

Złotowłosa dziewczyna westchnęła.

Tęskne spojrzenia jej fiołkowych oczu błędziły po niezmierzonej przestrzeni wód, szukając czegoś cierpliwie, wytrwale. Lecz nadaremnie błędziły... szukały... Żaden dymek nie zaczerniał na widnokręgu, żaden żagiel nie zajaśniał w oddali. Tylko fale spienione przewalały się po wzburzonym łonie morza, tylko ołowiane, ciężkie chmury kłębiły się na ponurym nieboskłonie... Więc pociemniały fiołkowe oczy dziewczęcia, zawiedzione po raz setny, czy tysięczny. Pociemniały i zaczęły z smutną rezygnacją spoglądać w dół, tam, gdzie u stóp ściany skalnej huczał straszliwy wir.

Złotowłosa dziewczyna drgnęła silnie.

Mimo szumu wiatru, pomimo nieustannej pogwarki oceanu, pochwyciła podejrzany szmer. Ktoś skradał się od tyłu, przedzierał się przez gęstwę niskich krzaków, których szeroki pas rósł niedaleko, poza plecami siedzącej. Wprawne ucho odróżniało dokładnie szelest liści szarpanych wiatrem, od szmeru, jaki wywoływało ostrożne prześlizgiwanie się człowieka, czy dużego zwierzęcia.

Jakoż po chwili wypełznął pomiędzy krzewów mężczyzna i stanąwszy prosto, wlepił błyszczące oczy w zadumaną dziewczynę... Był to człowiek starszy, krępy, bardzo niskiego wzrostu, odziany w szkarłatny płaszcz cudacznego kroju. Na głowie miał czapkę szpiczastą, a w rękę dźwżył skrzywiony kij. Brzydką twarz szpecił jeszcze bardziej olbrzymi sępi nos, a zwichrzona, czarna jak heban broda i oczy obłąkańczo spoglądające, nadawały obliczu wyraz dzikości, uporu.

Złotowłosa obejrzała się nagle.

Zerwała się z krzykiem przerażenia i stanęła oko w oko z przybyszem.

– Skacz w przepaść! – wrzasnął mąż w szkarłatnym płaszczu i postąpił kilka kroków w stronę poblądej dziewczyny.

Rozejrzała się trwożnie dokoła. W mgnieniu oka ogarnęła grozę swego położenia. Po obu bokach miejsca, gdzie stała, wznosiły się poszarpane wierchy pasma górskiego, a z tyłu była głęboka przepaść, na dnie której, wśród raf przybrzeżnych kotłował się wir morski. Jedyną drogę ucieczki przeciął ten szaleniec. Znikąd pomocy. Żadnej broni w słabej ręce.

Widząc, że straszny napastnik podchodzi coraz bliżej, krzyknęła rozpaczliwie:

– Precz, Hanno!... Jak śmiesz?... Powiem arcykapłanowi!

Przybysz wybuchnął zjadliwym śmiechem:

– Arcykapłanowi? – zawołał z szyderym rechotem. – He, he, he, he... Powiesz mu, jeżeli cię stąd wypuszczę... He, he, he, he! Ale nie po to cię śledzę od dawna, nie po to włokłem stare nogi na te szczyty, bym cię miał teraz żywą wypuszczać... Skacz w przepaść natychmiast... albo zepchnę!

Głos jego charczał wściekłością.

Widmo okrutnej śmierci zajrzało w oczy dziewczynie. Nie miała żadnej wątpliwości, że napastnik straci ją ze skały, jeżeli natychmiast nie wykona jego szalonego rozkazu. Instynkt samozachowawczy podszeptał jej sposób ratunku... Schyliła się i błyskawicznym ruchem porwała kamień w rękę. Potrząsając zdobytą bronią, zawołała groźnie:

– Precz ode mnie... lub głowę roztrzaskam!... Ani kroku dalej!...

Napastnik stanął jak wryty, lecz jego zdumienie trwało krótko. Błyskawice gniewu i oburzenia zamigotały w żółtych źrenicach. Odrzucił krzywą laskę, a pochwycił oburącz potężny głaz i wznosił go wysoko nad głowę. Piana wystąpiła mu na usta, kiedy ryknął:

– Ty śmiesz grozić?... Ty przybłędo, mnie, kapłanowi?!

Wzmagający się wicher igrał z połami szkarłatnego płaszcza, z kosmykami kruczych włosów, które wymykały się spod szpiczastej czapki szaleńca. Z olbrzymim kamieniem, nad głową się kołyszącym, z krwawymi rumieńcami gniewu na wychudłych policzkach, wyglądał jak jakiś straszliwy upiór, jak złe bóstwo gór.

Złotowłosa nie śmiała cisnąć kamieniem na wroga. Widziała i wiedziała, że zbliża się nieuchronna zguba. Każdy krok tamtego przysuwał chwilę śmierci. Strach, smutek, żal młodego życia, wspomnienia chwil szczęśliwych, utworzyły w myślach splątany chaos. Przymknęła oczy, oczekując straszliwego ciosu. Jeszcze dojrzała przez szparki powiek, że napastnik przebiegł w tył dla większego zamachu, że mięśnie jego rąk napięły się w olbrzymim wysiłku. Jeszcze usłyszała słowo okrutnego wyroku. Nie słowo, lecz ryk:

– Giń!

I nagle gwizdnęło coś żałośnie.

Pierzasta strzała rozpruła powietrze. Utkwiła w jednym z wzniesionych w górę ramion. Zachwiał się napastnik, runął na wznak, jęcząc boleśnie. Kamień wypuszczony z rąk potoczył się po pochyłości, aż trafił na rząd krzaków i stanął.

Z gęstwiny wyskoczył zwinny młodzieniec, uzbrojony w łuk oraz dzidę. Szybko przebiegł niewielką przestrzeń i dopadł ślaniającej się dziewczyny.

– Przybyłem na czas – zawołał, a potem mocnym ramieniem opasał wpół złotowłosą... Był od niej niższy o dwie głowy prawie, więc pochyliła się nad nim, dziękując gorącymi słowami za niespodziewaną pomoc.

A tymczasem powalony napastnik zaczął się dźwigać z ziemi. Postękiwał, lecz usiadł wreszcie. Zdrową ręką wyrwał strzałę, która tkwiła w ramieniu; połą płaszcza obwiązał ranę broczącą silnie. Wzrok pełen nienawiści posłał dziewczynie, a wzdrgnięte spojrzenie jej nieoczekiwanemu wybawcy. Dłuższą chwilę mełł jakieś przekleństwa, aż w końcu warknął głośno:

– Głupi młokosie! Przeszkodziłeś mi, lecz to jej nie pomoże. Ona musi zginąć!

– Bacz, byś sam pierwej z mej ręki nie zginął – krzyknął oburzony młodzieniec. – Wara ci od niej! Drugim razem w serce ci strzałę pošlę, nie w rękę.

– Drugim razem będę ostrożniejszy, a gdy wypę od niej uwolnię, możesz tysiące strzał świętokradzkich utopić w mym sercu.

Taki fanatyzm błyszczał w żółtych oczach rannego napastnika, że oboje młodzi wzdrygnęli się mimowolnie. Nie uszło to oka kapłana, więc ciągnął dalej:

– Głupi jesteś Hamilkarze, synu Egota. Po trzykroć głupi, że dałeś się omotać tej obcej dziewczynie. Czy myślisz, że ona cię miłuje?

– Miłuje mnie – odparł Hamilkar z głębokim przekonaniem.

Skaleczony strzałą mężczyzna zarechotał zjadliwym śmiechem:

– Jeżeli cię naprawdę miłuje, to czemu stroni od ciebie? Czemu błądzi po górskich wertepach i szuka samotności? Czemu tęsknie na morze spojiera?... Milczysz?... Tedy ja cię odpowiem... Obcą jest dla niej nasza wyspa, nasz lud i religia nasza... Obcym ty dla niej jesteś młokosie... Gardzi w duszy takim karłem ona, córka obcego plemienia Olbrzymów.

Oto co dnia prawie ją widzę, jak śpieszy na szczyty i wypatruje, czy nie pojawi się gdzieś w dali zabłąkany okręt. Ona czeka wybawienia... Jej jedynym pragnieniem jest opuścić jak najprędzej nasz kraj, który przed laty jej rodzicowi gościny użyczył. Jej zacnemu rodzicowi... Tak... Spytaj jej sam, czyli słuszność nie po mojej jest stronie...

Przygnębienie malowało się w rysach młodego, kiedy zapytał dziewczynę:

– Prawda li to, co mówi Hanno? Powiedz najdroższa...

Złotowłosa zawahała się przez chwilę:

– Jestem do ciebie bardzo... przywiązana, mój dobry Milkarze – odparła wymijająco – lecz czy jest w tym coś zdrożnego, jeśli tęsknota za krajem ojczystym spać mi nie daje, jeżeli lubię czasem w samotności podumać?

– Dobrze mówisz, Eli! – przyznał jej z radością, a potem zmarszczywszy brew groźnie, zwrócił się do poskromionego napastnika. – Przeniknąłem cię, kapłanie! Chciałbyś mnie z nią poróżnić. Zazdrość cię gnębi, że ja, syn najbogatszego obywatela w kraju mam ją zaślubić, a nie twą córkę, zielonooką Sofo... Na wylot cię przeniknąłem, Hannonie... I dla osiągnięcia swych niecnych zamiarów nie cofnąłeś się nawet przed skrytobójstwem, któremu na czas przeszkodziłem... Słusznie was lud prosty nienawidzi, kapłani... Podli jesteście!...

– Milcz, młokosie!...

– Sam milcz, stary kuternogo!

– Ha, przeklęty!... Z kalectwa się mego naigrywasz? Oby cię bogini trądem ukarała. A za ranę dzisiejszą drogo mi jeszcze zapłacisz.

– Precz stąd, żebraku! Umykaj, albo cię zrzucę w przepaść.

– Idę już... Idę... Powiem arcykapłanowi, żeś do mnie strzelał z łuku. Złoto ojcowskie nie uchroni cię przed karą.

– Możesz gadać, lecz nie zapomnij sam dodać, że ty, kapłan, usiłowałeś zamordować kobietę, która jest pod opieką bogini. Nie zapomnij o tym.

– Miałem prawo... W księgach napisano, że wyspiarz, który by się ośmielił wejść na te szczyty i na morze spojrzeć, śmierć poniesie.

– Lecz ona nie jest urodzoną wyspiarzka, a zresztą, jeżeli nawet zawiniła, to powinieneś był odprowadzić ją do najwyższego sędziego, nie zaś sam wymierzać sprawiedliwość.

Zmiarkował zapalczywy Hanno, że młody przeciwnik nie jest w ciemni bity, że zna prawa spisane w księgach kapłańskich i może mu odpłacić pięknym za nadobne. Więc podpierając się podniesionym z ziemi kijem, ruszył w stronę krzaków, a na odchodnym rzekł dość pojednawczo:

– Sam ci kiedyś, młokosie, karę tym kijem wymierzę. Nie chcę trudzić arcykapłana opowiadaniem o dzisiejszym zajściu. Chyba... że ty pierwszy zaczniesz miotać oszczerstwa.

Hamilkar pojął natychmiast, że kapłan proponuje mu tymi słowami zawieszenie broni i rozejm. Ucieszył go taki obrót sprawy, ze względu na Eli.

– Ja także nie myślę wywłóczyć twoich sprawek – krzyknął wesoło za oddalającym się. – Wystarczająco cię ukarałem, a nad nią sam czuwać będę.

Kulejący kapłan przystanął raz jeszcze i odwrócił się twarzą do dwojga młodych. Potrząsając kijem wysoko, zawołał silnym głosem:

– Pomnij jeszcze, Hamilkarze, co napisano w prorocत्वach Athasa, trzydziestego arcykapłana Tyru: „Obca niewiasta sprowadzi klęski największe na kraj mój umiłowany. Przyplynie z północy lud Olbrzymów, uzbrojony w błyskawice i pioruny, ujarzmi dzieci bogini, znieważy świątynię Aszery. Żony zdradzą mężów i ojczyznę, łącząc się z wrogami. Białogłowa będzie dzierżyła berło arcykapłańskie. I wówczas nadejdzie dzień straszny, dzień gniewu bogini”. ...Pomnij o tych słowach, synu Egota!

Raz jeszcze pogroził Hanno krzywym kijem, potem z wolna zaczął zstępować do olbrzymiej kotliny, którą góry nadbrzeżne wieńcem opasywały dokoła.

Młody Hamilkar zadumał się. Nie obce mu były proroctwa, z których jedno kulawy kapłan zacytował właśnie... Już wówczas przed laty, kiedy rybacy wyłowili nieszczęsnego rozbitka z jego ośmioletnią córeczką, zastanawiano się w Radzie, czy znana przepowiednia nie odnosi się do tej ślicznej, złotowłosej dziewczeczki. Ale większość dostojnych radców rozstrzygnęła, że uratowana jest dzieckiem, a proroctwo mówi o niewieście, która ma przyplłynąć z ludem uzbrojonych Olbrzymów. Dzięki temu więc, udzielono dziewczynce i jej wysokiemu rodzicowi gościny. Dzięki temu Eli wyrosła na przepiękną dziewczę i miała niebawem zostać małżonką Hamilkara.

Teraz wystąpił Hanno.

Hanno spodziewał się, że syn Egota zaślubi jego córę, kruczowłosą Sofo, a dzięki stosunkom oraz bogactwu Egota, on sam będzie się mógł wybić wyżej, na członka Rady, może nawet kiedyś sięgnąć po berło arcykapłańskie. Stało się inaczej. Złotowłosa Eli zwyciężyła rywalkę w sercu młodzieńca. Wtedy ambitny kapłan, srodze w swych nadziejach zawiedziony, całą nienawiść zwrócił przeciwko „przybłędzie”. Począł głosić wśród ciemnego ludu, że proroctwa zawarte w księgach arcykapłańskich odnoszą się do złotowłosej dziewczycy, która bez wątpienia należy do rodu Olbrzymów. Czyż nie wyrosła jak palma? Czyż nie przewyższa wszystkich obywateli o jakieś dwie głowy?

Czyż ojciec jej nie jest prawdziwym kolosem wśród niskiego wzrostem ludu bogini? Czyż „przybłęda” nie wykrada się na szczyty gór, na brzeg morski i nie czeka na kogoś niecierpliwie? Oczekiwała zapewne swych braci, którzy mieli przyplłynąć zbrojni w błyskawice i gromy, którzy spokojnej krainie przynieść mieli zagładę...

Hanno pozyskał sobie licznych zwolenników po wioskach oraz pośród ciemnego motłochu miasta, lecz większość zbywała poczynania fanatyka wzgardliwym milczeniem. Zbyt wiele znaczył ród możnego Egota, zbyt lubiano i szanowano ojca złotowłosej dziewczyny, który leczył umiejętnie wszelkie choroby.

Potem wdał się w sprawę sam stary arcykapłan. Surowo zgromił Hannona, a Eli napomniał, by nigdy się na szczyty górskie nie wspinała... Przycichli oboje, lecz tylko pozornie. Gnana niewytłumaczoną tęsknotą, wykradała się Eli na miejsca zakazane. Dysząc nienawiścią, prowadził Hanno nadal swą akcję, lecz ostrożniej, przezorniej. Jak robak toczący drzewo nurtował wśród pospólstwa, siejąc zatrute ziarno niechęci do „przybłędy”.

I w serce Hamilkara padło takie ziarno zatrute. Nie zdołał w nim jednak Hanno wzbudzić niechęci. Zbyt gorąco kochał młodzieniec swą narzeczoną. Ale słowa fanatyka rzuciły mu na duszę zimny cień obaw, lęku, podejrzeń. Gładkie czoło pokryło się rządkami zmarszczek, które wyorała troska...

Złotowłosa Eli odgadła widocznie przyczynę smutku młodzieńca, bo pochyliła się nad nim i jęła gładzić jego gęstą czuprynę. Jej białe, długie paluszki błędziły wśród hebanowych włosów, odgarniały niesforny lęk ze zmarszczonego czoła.

Pod wpływem tej niewinnej pieśczoły, rozchmurzył się natychmiast. Objął silnie w pól dziewczynę i wysunął spragnione wargi do pocałunku. Lecz sięgał jej głową zaledwie do stromych piersi. Nadaremnie wspinał się na palce, na próżno wyciągał szyję. Ponętne usta były bardzo wysoko. Fiołkowe oczy nie widziały niemej prośby jego żrenic, bo znów zapatrzyły się tęsknie w nieskończoną dal morza.

– Usiądźmy – poprosił... Usłuchała dość niechętnie, za to on był uszczęśliwiony nad miarę. W pozycji siedzącej przykra różnica wzrostu obojga wyrównała się dość znośnie. Hamilkar mógł teraz muskać wargami twarz i szyję ukochanej. Pozostała bierna, zimna, obojętna jak zawsze. A kiedy ją chciał obalić na wznak, zerwała się na równe nogi.

– Nie!... Nie chcę! – krzyknęła ostro.

Mały wyspiarz przytulił głowę do jej smukłych nóg. Skomlał pokornie:

– Dlaczego, Eli?... Za jedną odmianę miesiąca będziesz mi przecież małżonką.

– Ale teraz nią jeszcze nie jestem.

– Jednakże wedle naszych zwyczajów...

– Nie proś daremnie. Wciąż to samo powtarzasz – przerwała mu gwałtownie.

Więc umilkł i tylko całował jej nagie nogi, z których wiatr odwijał powłóczystą szatę...

A fiołkowe oczy znowu patrzyły w dal...

Tak przeszło dużo... dużo czasu.

Wicher wzmógł się; zimno poczynąło dokuczać. Właśnie chciał powstać z ziemi młody syn Egota, aby odprowadzić narzeczoną w stronę domu, kiedy zakrzyknęła przeraźliwie. Zerwał się więc na równe nogi, pochwycił łuk i stanął u boku ukochanej, pytając o powód krzyku...

Eli nieprędko zdołała wydobyć głos z piersi. Stała blada jak trup. Drżącą rękę wyciągnęła przed siebie. Spoglądała gdzieś daleko z wyrazem wielkiego napięcia...

– Patrz!... Tam!... – wykrztusiła wreszcie.

Hamilkar spojrział we wskazanym kierunku.

Hen, na krańcach widnokręgu czerniał jakiś punkt. Chwilami zniknął, przysłonięty potężnym bałwanem, chwilami zdawał się wznosić wysoko w górę, a czasem zajaśniało coś ponad nim, niby strzęp białego płótna...

Czarna plama rosła powoli, lecz stale. Drgała, przeskakiwała z grzbietu na grzbiet fali... kołysała się w zawrotnym tańcu.

Duży szmat nieba zakrytego chmurami, słońce musiało przejść, zanim bystre oczy Hamilkara zdołały rozpoznać kontury ciemnego przedmiotu.

– To łódka... Widzę ludzi... – obwieścił głośno.

– Widzisz ludzi?...

Znów przeszły chwile oczekiwania.

– Czekaj... spróbuję policzyć... Trzech... pięciu...

– Teraz i ja już widzę... Siedzą parami...

– Siedmiu, dziewięciu, jedenastu – liczył dalej młodzieniec.

– Piętnastu ich jest... A to białe, to żagiel. Resztki poszarpanego żagla.

– Biedacy – westchnęła Eli – ocean taki wzburzony. Walczą z nim zapewne od dawna... O, Hamilkarze... ty nie masz pojęcia co to znaczy kołysać się w maleńkiej łupince wśród wichrów. Dzieckiem wtedy byłam, a pamiętam jak dzisiaj. Dałby Bóg, aby do nas szczęśliwie dopłynęli.

– Do nas? Oni?... Roztrzaskają się na rafach i zatoną. Wir ich pochłonie... zobaczysz...

– Wskażemy im miejsce, gdzie powinni lądować.

– Eli!...

– Co, Hamilkarze? Ach, rozumiem! Myślisz o tym barbarzyńskim prawie, które wam wzbrania przyjmować obcych na wyspę... Milkarze drogi! Pomyśl, że to prawo przestarzałe, niehumanitarne... Przecież to są ludzie, rozbitkowie. Kto wie, od kiedy błądzą po bezmiarze wód. Nie zubożejecie, jeżeli im udzielicie trochę słodkiej wody, jadła oraz kilkudniowego przytułku. Gdy wichry ustaną, oni odjadą, błogosławiąc gościnnych wyspiarzy...

– I przywiodą wojska, które nas wymordują.

– Milkarze jedyny! Widzę, że słowa złego Hannona zakiełkowały w twojej duszy. Więc obawiasz się kilkunastu rozbitków? Was jest przecież dziesiątki tysięcy... Ha, ha, ha...

Hamilkar, syn Egota, setnik łuczników obawia się garstki ludzi wygłodzonych, zgnębionych...

– Nie obawiam się nikogo, lecz nasze prawa są święte. Nikomu nie udzielamy gościny, gdyż wcale nie pragniemy łączności z innymi narodami.

– Nieprawda!

– Jak to, nieprawda?

– A ja? A mój ojciec? Gdybyście nie byli nam udzielili przytułku, nie byłabym dzisiaj tu z tobą. Nie zaznałbyś słodczy moich ust...



Słodkie wspomnienie niedawnych pocałunków, lepiej usposobiło syna Egota. Opasał ramieniem kibić narzeczonej i rzekł głośno, gdyż wzmogła się wichura i głużyła słowa wyrzeczone:

– Dobre masz serce, Eli, skoro się litujesz nad dolą nieszczęśliwych żeglarzy, lecz nie wolno nam samym nic przedsiębrać bez zgody Rady.

– A tymczasem tamci zatoną.

– Nie zatoną.

– Patrz, jak się borykają z falami.

– Widzę... Wytrawni to żeglarze. Skoro tyle przestrzeni przebyli, to i dalej ujadą, popłyną bez szwanku.

– A rafy? Sam mówiłeś, że się na nich łódź musi roztrzaskać.

Hamilkar umilkł, nie znajdując żadnej odpowiedzi na poczekaniu. Tymczasem łódź zbliżyła się o tyle, że oboje mogli dokładnie policzyć załogę... Oprócz sternika i czternastu marynarzy przy wiosłach, widać było trzy bezwładne ciała, leżące w samym środku szalupy, u stóp złamanego masztu... Widok łądu potroił snadź siły wyczerpanych marynarzy, bo mały stateczek pomykał żywo przez wzburzone odmęty... Złotowłosa dziewczyna podzieliła się tym spostrzeżeniem ze swym towarzyszem:

– Sam widzisz, Hamilkarze, że zanim dobiegniemy do miasta, oni dopłyną do tych raf przeklętych. A ile czasu potrzeba, aby się zebrali członkowie Rady, aby coś postanowili, uchwalili?... Hamilkarze, ratuj moich braci. Niewolnicą ci będę... nie żoną.

Zdumiał się wielce syn Egota. Nigdy jeszcze nie widział takiego podniecenia u swej pięknej wybranej. Gorączkowe rumieńce okraśniały jej lica, a oczy rzucały błyskawice zapалу, lub na przemian skomlały pokornie o wysłuchanie prośby... Cudne fiołkowe oczy... Któżby się oparł tym oczętom? Chyba Hanno, wróg śmiertelny dziewczęcia, ale nigdy Hamilkar, zakochany młodzieniec... Rzekł więc po dłuższym namyśle:

– Wskażę im drogę tylko do miejsca, gdzie wylądują bezpiecznie; niechaj potem Rada rozstrzyga, czy się ich przyjmie na wyspę, czy też pozostawi na pastwę losu... Więcej uczynić nie mogę...

– I za to ci dziękuję, najdroższy – odparła Eli, obsypując mu twarz szybkimi pocałunkami.

Znękani żeglarze dostrzegli dwoje ludzi, stojących na szczycie górskiego wzniesienia. Dostrzegli także dawane znaki i zrozumieli je. Zamiast dążyć wprost ku wybrzeżom, skręcili na lewo i wielkim łukiem poczęli okrążyć siedlisko zdradliwych raf. Po dwugodzinnej walce z żywiołem, płynąc wciąż za wskazówkami Hamilkara, zbliżyli się do maleńkiej zatoki, która wrzynała się dość głęboko w wyspę, a dla płynących na pełnym morzu, była z daleka zupełnie niewidoczną.

Ale gdy szalupa dotarła do skalistego brzegu, w miejscu wskazanym przez młodego tubylca, żaden z marynarzy nie mógł dźwignąć się z ławki. Upadli bezwładnie na wiosła i z zupełną apatią spoglądali dokoła.

Hamilkar zastanowił się. Jego dobre serce skłoniło się ku prośbom narzeczonej, by zstąpić na dół, by dopomóc biednym rozbitkom, ale rozum odradzał stanowczo. Schodząc musiałby im zdradzić drogę, którą można się było dostać na szczyty pasma górskiego, a tym samym w głąb kraju...

Na szczęście nie wszyscy żeglarze zachowali się biernie w dalszym ciągu. Brodaty sternik oraz rośli młodzieniec znaleźli jeszcze na tyle siły, by wyskoczyć na brzeg i przycumować szalupę. Następnie zaczęli wynosić na łąd omdlałych, przemokniętych kolegów. Obaj razem chwyтали każdego za bary i wlekli w bezpieczne miejsce. Układali rzędem bezwładne ciała, u stóp skalnej ściany. Kiedy ostatni legł na twardych głazach, sternik chwycił się nagle za piersi i runął tuż obok towarzyszy. Zmęczenie pozbawiło go resztki sił.

Ów rosły młodzieniec pracował dalej. Raz po raz wracał do uwięzionej łodzi. Wnosił stamtąd jakieś wąskie, długie przedmioty, których przeznaczenia Hamilkar nie był w stanie odgadnąć... Wreszcie ukończył robotę. Dobył z kieszeni jakąś świecąca puszkę, przytknął ją do ust, a głowę silnie do tyłu przechylił. Pił bardzo długo. Potem raz jeszcze rzucił podejrzliwe spojrzenie w stronę dwojga ludzi, którzy stali w górze, nie kwapiąc się bynajmniej z bardziej doraźną pomocą dla nieszczęśliwych bliźnich...

W końcu położył się w pobliżu swych kolegów i zaraz zasnął.

Wtedy Hamilkar pochwycił dłoń narzeczonej: – Teraz spieszmy do miasta. Niech Rada Najwyższa rozstrzyga, co zrobić z przybyszami. Ja swoje zrobiłem... Dla ciebie, Eli, to uczyniłem... I obym tego nie żałował – dodał po chwili, jak gdyby tknięty wieszczym przecuciem.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI